Przyjaciel Ludu.

Rok szósty. **No. 9.** **Leszno,** *dnia* 31. *Sierpnia* 1839.



Potwarca ukarany.

Po śmierci króla Ludwika postanowili Polacy wezwać na tron córkę jego najmłodszą, Jadwigę, i przybrać jéj męża. Po berło, do którego przydawano rękę młodéj i pięknéj dziewicy, sięgało kilku postronnych książąt. Pomiędzy innymi, zgłosił się także o nie nie młody już natenczas Jagiełło, wielki książę litewski. Ofiary, które składał, tak były dla Polski korzystne, że naród posadził go natychmiast na tronie Piastów; a Jadwiga, kochająca i kochana od Wilhelma, księcia austryackiego, z skrwawioném sercem, zrzekła się dla dobra kraju najtkliwszych uczuć i oddała swą rękę Jagielle. Nie była atoli w swojém pożyciu z nim szczęśliwą. Pominąwszy bowiem różnicę, jaka w wieku, obyczajach i skłonnościach między małżonkami zachodziła, Jagiełło dręczył Jadwigę ustawicznemi podejrzeniami. A że na dworach nie braknie nigdy intrygantów, znalazł się i na zamku krakowskim pochlebca, który króla przeciw jego cnotliwéj małżonce podburzał. Imię tego niecnoty jest Gniewosz: oskarżył on Jadwigę przed królem o niewiarę. Oskarzenie to i skutki jego, tak nam opisuje nieoceniony nasz kronikarz Joachim Bielski:

„Natenczas téż króla powadził z królową Gniewosz (Damalewicz), krakowski podkomorzy, śmiejąc to twierdzić przed królem, żeby miała królowa obcować pierwéj z Gwilelmem, bywając z nim w klasztorze ś. Franciszka, i potém, żeby nieznacznie tu kilkakroć Gwilelm do Krakowa miał przyjeżdżać, i widywać się potajemnie z nią. Królowa żądała powiadacza: powiedział król na Gniewosza. Gdy Gniewosz stanął, powiedział, iż słyszał od Gwilelma, iż je pokładano społu jeszcze dziećmi w Węgrzech. Królowa się do tego znała, ale ani tam, ani tu w Krakowie nigdy tego nie było, coby jéj panieństwu miało szkodzić: gdzie dobrowolnie tego przed pany przysięgą poprawiła. W czem ją

też wyświadczał Jaszko Tęczyński, powiadając, iż będąc przy niéj przez ten wszystek czas, nigdy nic po niéj takiego nie burzył. A tak Gniewosz był o to pozwan na sejm do Wiślicy, który gdy tego dowieść nie mógł, co mówił, z dekretu królewskiego pod ławą to odwoływać, albo, jako pospolicie mówią, odszczekiwać musiał przed wszystkimi, ku swéj wiecznéj hańbie.“

Historyczne to zdarzenie podało P. Władysławowi i Antoniemu Oleszczyńskim, myśl do niniejszéj ryciny, króla atoli bynajmniéj nie poprawiło; dręczył on bowiem jeszcze swojemi podejrzeniami i czwartą małżonkę Zofią.

Świat i Poeta.

Powieść J. Kraszewskiego. W Poznaniu 1839.

Romans w ostatnich czasach zajął w literaturze europejskiéj jedno z najcelniejszych miejsc. Dawniéj był on tylko dziejami dwóch rozkochanych serc, które nareszcie niesłychane przygody i cierpienia, zwykle, a zawsze monotonnie łączyły. Cervantes, Le Sage i Richter utworzyli z niego pierwsi narzędzie użyteczne do wychłostania hipokryzyi lub poważnéj śmieszności, tak całych korporacyi, jako też pojedyńczych osób. Dziś granice romansu rozszerzone zostały niezmiernie. Jego własnością jest historya, on uczy gospodarstwa, marynarki, administracyi i Bóg wie nie czego. Zdaniem atoli naszem, ten rodzaj romansu jest najlepszym, najużyteczniejszym, który, zastępując dziś miejsce zarzuconéj prawie satyry, ma na celu poprawę obyczajów. Zbliża się do tego rodzaju romans obyczajowy, malujący wiernie obrazy indywidualnego życia. W tym gatunku romansu, celuje u nas P. Kraszewski. Najnowszy romans jego, pod tytułem: *Świat i Poeta,* mistrzowskiem piórem skreślony, jest tego dowodem. Obrazy w nim tak są wierne, tak naturalne, że czytającemu zdaje się, iż nie romans ma w ręku, ale raczéj własnemi oczyma patrzy na prawdziwe zdarzenia i czyny w życiu poety, który, niestety, nie jest do życia praktycznego stworzony. Ośmielamy się zachęcać P. Kraszewskiego, aby napisał romans wątku, wziętego z życia narodowego. Jesteśmy pewni, że tak znakomity romanso-pisarz obdarzyłby literaturę naszę drugim *Don Quichotem, Idzim Blasem, Djabłem kulawym,* albo *Iwanem Wyżyginem,* i tyleby dobrego, ale powszechniéj, zdziałał, ile satyry naszych Opaleńskich, Krasickich i t. d.

Tymczasem, nim to nastąpi, udzielamy czytelnikom Przyjaciela Ludu rozdział jeden z romansu: *Świat i Poeta.*

Autor opowiedziawszy poprzednio, jak młody poeta, wypchnięty z domu swego opiekuna, po kilku latach niebytności, zapragnąwszy znowu ujrzeć drogie sercu jego osoby i miejsca, zimno i z wzgardą przyjętym od swoich krewnych został, wprowadza go powtórnie, ale już bogatym w dom jego opiekuna, i tak drugie odwiedziny te opisuje:

Drugie odwiedziny.

A ci, co z tobą teraz przestawają,
Twéj się fortunie, nie tobie kłaniają.
Kochanowski. Ks. II. III.

A ja w szlafroku! krzyknął Pan Werner, porywając się z kanapy i biegąc się przebrać, zobaczywszy przez okno świeży kocz, czterema pięknemi końmi zaprzężony, zajeżdżający szumnie przed ganek.

Któż to jest? zawołała Pani Ostrowska, nieznajomy ekwipaż. — To gość zdaleka!

— Nie rozumiem! przebąknęła Marynia, przyglądając się powozowi, uśmiechając się do siebie i myśląc: — pewno do mnie przyjechał!

Pani Werner prędko kazała pościągać kapki z krzeseł, pył pościerać i zdjąć serwetę od kawy. Lokaje biegli się dowiedzieć, kto to taki. Pan Werner aż dwóch posłał, oba przybyli z wiadomością: pan Gustaw!

— Poszaleli! czy co? krzyknął stary, kręcąc peruką: pan Gustaw! takim koczem z liberyą! takiemi końmi! osły!

Tenże sam głos dał się słyszeć w salonie! — To być niemoże! to być niemoże! Marya niespokojna trzęsła głową i patrzała w zwierściadło, nieukontentowana tą wiadomością. Pani Ostrowska szastając się po salonie z tabakierką, wypytywała się, czy to ten sam, co był niedawno?

— Ale to być nie może! zawołali wszyscy nareszcie! — I w téj chwili otworzyły się drzwi, a Gustaw wytwornie ubrany, śmiałym krokiem, mocno jednak zarumieniwszy się, wszedł do salonu. Pan Werner stał na progu drugiego pokoju w nowym fraku, przyczepiając dewizki do zegarka, i zobaczywszy Gustawa, a za nim zamykające się drzwi, poszedł się rozebrać. — Pani Werner przyjęła go czule, ale trochę zmięszana; Marya zimno, obojętnie, a dla odstręczenia od siebie, trochę pogardliwie; Pani Ostrowska z wytrzeszczonemi ciekawie oczyma.

Wszedł nareszcie P. Werner w szlafroku i zimno Gustawa przywitał. Potém pobiegł do okna spojrzeć na pojazd.

— Śliczny ekwipaż! Czyjże to Gustawie? zapytał.

— Mój! odpowiedział Gustaw zimno.

— Twój? zakrzyknął zdziwiony, odwracając się szybko od okna, a wszyscy spojrzeli po sobie. —

Cóż, zkądże to? wygrałeś w karty? co?

Nigdy nie gram! odpowiedział Gustaw; kupiłem go.

Ale zkądże wziąłeś pieniędzy? zapytał niecierpliwie P. Werner.

Mając taki, jak ja mam majątek, cóż dziwnego, że mam kocz i konie! — Podziwienie wszystkich rosło. Milczeli.

Ale zkądże znów masz majątek? zapytał Werner; jeśli sukcessya jaka, to i mojéj żonie przypada połowa. A możeś się?....

Nie, nie jest to ani spadku, ani ożenienia skutkiem, odpowiedział Gustaw powoli, patrząc na Maryą, która wielkiemi oczyma patrzała także na niego. — Sądziłem, że to być musi od dawna wujowi i cioci wiadomo?

Cóż? ale cóż takiego? zawołali, P. Werner z podziwieniem, Pani Werner z radością.

Niema nic ciekawego, to późniéj opowiem, rzekł Gustaw niedbale; wszak wuj pozwoli mi przenocować? Pan Werner już dzwonił z całéj siły.

A jakże, jakże, kochany Guciu, konie do stajni! I wszyscy poruszyli się, szepcąc do siebie, ruszając ramionami, niepojmując nic jeszcze; Gustaw żimny, obojętny, chodził po salonie i nie patrzał nawet na Maryą, która zaczynała już być obrażoną jego obojętnością, wprzódy tak usilnie pożądaną.

I jakże to było? i co to było? rzekł Pan Werner, natychmiast wracając. Powiedzże nam to, Guciu, jesteśmy ciekawi, cieszym się twojem szczęściem, mocno się cieszym.

Było to tak, odpowiedział nareszcie Gustaw głośno i powoli: Wyratowałem na ulicy od roztratowania końmi ubogą staruszkę; tą staruszką była hrabina N., która wygrawszy proces z dziećmi, zapisała mi darem majątek Wasilków.

Wasilków! krzyknął Pan Werner, chwytając się za perukę. Na Boga! pszenne grunta, rzeka! staw! 40,000 intraty przy dobrym gospodarstwie! Ej, toś ty bogatszy od nas!

I stał osłupiały. — Marya wyszła z pokoju. Pani Ostrowska już Gustawa częstowała tabaczką, Pani Werner go ściskała, a Pan Werner ruszał ramionami, chodził po pokoju i myślał sobie: gdybym był wiedział, byłbym tam Franciszka posłał na ratunek.

A gdzież jest brat Franciszek? zapytał Gustaw.

Na polowaniu! odpowiedziała matka.

Potém rozmowa powolna i żywa, na przemian tysiąc pytań, odpowiedzi, powieści, śmiechu i wszystkiego tam było przez wieczór, póki się nie wtoczył Franciszek ze swojém towarzystwem myśliwskiém. Słychać go było zdaleka, a Pan Werner był jak na gorących węglach, lękając się, żeby żimnem przyjęciem Franciszek nie obraził nowego bogacza. — Bo myślał sobie, kto wie? blady, chudy, może umrzeć bezdzietnie, my najbliżsi krewni! kto wie? — I tak ten samolub już swoje korzyści rachował w szczęściu Gustawa, już myślał, jak mu się przypochlebić, już dumał nad wymyśleniem pretensyi do niego za utrzymanie, za koszta wychowania i t. d.; jak ci wszyscy, co się nigdy cudzem szczęściem inaczéj cieszyć nie umieją, jak wyciągając z niego dla siebie korzyści i widoki!

Franciszek nie sam był jeden; bracia Marmurki, Pan Bonifacy i Pan Trepsza, towarzyszyli mu. Z trzaskiem otworzyli drzwi salonu, a każdy z nich niósł w ręku zająca.

Ot! to polowanie! wykrzyknął wchodząc Franciszek; charty nasze popisały się należycie; trzy godziny, trzy zające.

A moja chartka, rzekł Pan Trepsza, zawsze była na przodzie, i wodziła tylko resztę psów za sobą.

Co to zające! odezwał się pan Bonifacy, łoś, to zwierzyna! W roku 1812, było to w jesieni —

Ubiłeś łosia! przerwał mu Franciszek; wiemy o tém dobrze. I zaczęli się witać wszyscy. Bracia Marmurki ukłonili się jednakowo i oba razem wszystkim, w takt jak dwie lalki poruszone jedną sprężyną, siedli obok siebie jednakowo się trzymając, milcząc, wyprężeni jak strony, uśmiechając się tylko za wspólną zgodą do P. Ostrowskiéj, która wzięła na siebie obowiązek bawienia ich.

Ojciec porwał Franciszka nieznacznie na stronę.

Czemu się nie witasz z Gustawem, rzekł mu na ucho. Gustaw tu jest. Osobliwszym przypadkiem stał się bogatym, ma pół miliona majątku. Bądźże grzeczny dla niego.

Ożenił się?

I nie; potém ci to opowiem, rzekł ojciec; idź, idź się przywitaj! tylko serdecznie.

Franciszek, nie w ciemię go bito, skoczył tak namiętnie ściskać braciszka, że mało go nieudusił.

A! jakżem szczęśliwy, że cię widzę! jakże ci zdrowie służy? Utyłeś zdaje mi się? ślicznie wyglądasz; siadajże, proszę!

Wszyscy posiadali, patrząc z podziwieniem na to, a Pan Bonifacy odezwał się po cichu do Pana Trepszy:

Wszak to ten hołysz, co to był na polowaniu?

Ten sam hołysz, co moją chartkę zepchnął z kolan, jakiś fanatyk! odpowiedział P. Trepsza.

Milionowy pan! przerwała im po cichu przysuwając się Pani Ostrowska, czy nie wiecie? a! to awantura arabska! scena! ratował z pod koni na ulicy jakąś hrabinę i ta darowała mu ogromny majątek! a! awantury! ktoby się to spodziewał!

Jemu? zapytał P. Trepsza.

Tak, jemu!

A! rozumiem! odpowiedział Pan Bonifacy, musiał — i kiwnął głową, dając do zrozumienia Panu Trepszy, z czego to zbogacenie powstać mogło.

A! broń Boże! przerwała Pani Ostrowska. Waćpanowie to zaraz takie niegodziwe podej-



Kalwarya.

rzenia wymyślicie. To siedmdziesiątletnia kobieta!

Bywają przykłady! odpowiedział Pan Bonifacy; wiem właśnie jednę anegdotkę stósowną.

Daj temu pokój! rzekł Trepsza niecierpliwie; ot lepiéj zaproponujmy mu wista. Możemy go ograć. Z rozegranéj wyniknie faraonik; trzeba łyka drzeć. I zaraz rozpieczętowawszy talią kart, podał Gustawowi cztery, jak zwykle do wyboru.

Ja nie grywam nigdy, rzekł Gustaw; długie ubóstwo nauczyło mnie oszczędności, — niebyło co przegrywać, teraz nie umiem.

Ale jakto nie umieć, rzekł nalegając Pan Trepsza, dla kompanii! dla kompanii! to może jaką inną grę, — na prawo, na lewo — to bardzo łatwo, a wieczór tak długi.

W tym domu, rzekł Gustaw z uśmiechem, będzie mi się pewno bardzo krótki wydawał. Odstąpił przecie natręt; lecz mimo tego założył banczek w nadziei, że się Gustaw do niego późniéj przyłączy; — bardzo się na tém omylił. W położeniu Gustawa to było najśmieszniejsze, że nie bardzo jeszcze dawno, w tym samym domu, od tych samych osób, pogardzony, zapomniany siedział w kącie; teraz w jego osobie, oddawano podły hołd złotu, które do niego przyszło. O ludzie! pomyślał; o głupcy! trzeba być ubogim, ażeby poznać podłość waszę i nędzne rachuby, kryjące się pod zimnemi pozorami grzeczności. Teraz już mnie nie oszukacie, wiem ile wam wierzyć!

Ku wieczerzy przyszła i Marya, w bardzo złym humorze, do salonu. Skarżyła się na ból głowy i niechciała grać na fortepianie. Franciszek uczynny, ciągle ją zbliżał do Gustawa i żartował z nich; ojciec teraz już życzący go sobie całem sercem za zięcia, przypominał im wszystkie dzieje młodości, lecz oni oboje byli obojętni, — nic ich już nie wiązało. Nareszcie, niby przypadkiem, zostawiono ich samych przy fortepianie. Marya patrzała w okno, Gustaw na salę — nagle obudził go z dumania dźwięk cichy fortepianu. Była to nóta bardzo mu znajoma, téj dawnéj dziecinnéj ich piosenki:

O mój aniele, pójdziem połączeni
Przez świat i życie, roskosz i boleści,
Jak powój co się na dębie zieleni,
I miękkim listkiem korę jego pieści!
Jak dwie łzy oczu, dwa piersi westchnienia,
Razem do życia i świata skończenia.
Ty ze mną zawsze, ja zawsze przy tobie,
Na świecie, w niebie i w grobie!

O mój aniele pójdziem połączeni,
Przez świat ten zimny, przez życie bez celu,
Przez burze, lata i wichry jesieni,
Razem méj duszy luby przyjacielu,
Jak dwie łzy oczu, dwa piersi westchnienia,
Razem! o razem do świata skończenia,
Ty zemną zawsze, ja zawsze przy tobie,
Na świecie, w niebie, i w grobie!

I coraz ciszéj, ustała piosnka i westchnienie Maryi zakończyło ją, a Gustaw mimowolnie w przeszłość przeniesiony, uniósł się ze łzą w oku w krainę marzeń i w niéj zobaczył pierwszy pocałunek i dawną Maryą swoję. Lecz spojrzał tylko, — i urok pękł od razu — nie była to Marya z pod bzów kwitnących! Zbliżył się do fortepianu i jedną ręką, po cichu, zagrał na odpowiedź wesołą pieśń drugą:

Chódź mój motylu, chódź mój skrzydlaty.
Zaprzęgam ciebie, wieź mnie wysoko!
Lećmy na łąki, lećmy na kwiaty,
Gdzie zechce serce, upatrzy oko,
Przez wszystkie nieba, przez wszystkie światy,
Nieś mnie daleko, nieś mnie wysoko!

Marya, od pierwszego uderzenia w klawisze, porwała się szybko, spojrzała i odstąpiła od fortepianu. Zrozumiała ona dobrze tajemną rozmowę, poszła do okna i dumać zaczęła.

Teraz w jéj sercu kobiecem obudziła się miłość wzgardzona. Póki jéj żądał biedny Gustaw, niebyło — teraz kiedy ją odpychał, wzrastała ze zgasłych popiołów. — Nie przypuszczam, niechcę wierzyć, boję się wnioskować, aby podły pociąg do złota, skierował sercem, lub postacią uczuć Maryi, jeśli w niéj uczuć nie było już wcale. Postępowanie jéj mogło być tylko zwykłą kobiecéj naturze sprzecznością, a trudno téż zaprzeczyć, choć smutno wyznać, że przepych i powierzchowność, niewiadomym, magnetycznym sposobem często na uczucia téj natury wpływa. — Rozeszli się więc po téj muzykalnéj rozmowie, nie tak obojętni, jak trochę rozgniewani na siebie, a bardziéj jeszcze zgody pragnący. Poznał Gustaw obudzające się w Maryi uczucie, i już powoli zaczął w niéj upatrywać podobieństwo i tożsamość z dawną Maryą swoją, tak dalece biedny, potrzebował drugiego młodego serca, któreby sercu jego biciem i uczuciem odpowiedzieć mogło.

Cóż to jest, żeście z Maryą tak na zimno? rzekł mu Franciszek cicho, — czy się gniewacie?

O! bynajmniéj, odpowiedział Gustaw, lecz mogłeś uważać, że tak samo było i za pierwszą razą, kiedym tu był.

Franciszek zagryzł usta. — Goście grali w karty. Ty nie grasz? zapytał Gustawa Pan Werner.

Nigdy!

Bardzo dobrze robisz; mogłoby to wejść w nałóg; często powtarzam Franciszkowi, że nic gorszego nad karty! Gustaw się uśmiechnął, pewny będąc, że wszystko, co teraz zrobi, będzie zawsze najlepszem. Chciał sam jeden podumać, ale mu niedano chwili spokojnéj; wszyscy się go z kolei czepiali, a on uśmiechał się szydersko, widząc te nadskakiwania osobliwsze. Nawet Pan Trepsza gadał z nim o polowaniu, nawet Pan Bonifacy cztery razy opowiedział mu, jak zabił łosia w 1812 roku; nawet bracia

Marmurki kłaniali mu się z uśmiechem, nawet Pani Ostrowska ciągle powtarzając awantury, sceny, częstowała go tabaczką i opowiedziała mu z rzadką wytrwałością i ciągiem niezwykłym jéj rozmowom, całą historyą powszechną okolicy. I ona biedna chciała go usidlić, jeśli nie twarzą, na którą i pociemku nawet rachować nie mogła, to przynajmniéj dowcipem.

Ledwie o północy dano mu zasnąć spokojnie, a jaką mu jeszcze Franciszek chciał na dobitkę uczynić przysługę, tego wam nawet powiedzieć nie mogę.

Kalwarya.

Do najciekawszych miejsc na drodze z Biały do Lwowa, należy bezsprzecznie sławne miejsce pielgrzymek pobożnych w obwodzie wadowickim, Kalwarya Zebrzydowska, tak po swym założycielu nazwana. Miejsce to rozróżniać należy od Kalwaryi Pacławskiéj, dwie mil od Przemyśla odległéj, zwłaszcza, iż to ostatnie co do bogactwa, piękności i wspaniałości kościołów i kaplic, jako też co do swego położenia i widoków, daleko niżéj od pierwszego stoi. U stóp góry Kalwaryi leży miasteczko Kalwarya, liczące 1800 mieszkańców, trudniących się tkactwem i rólnictwem. Otwiera się ztąd daleki widok na nadwiślańskie okolice, a żaden obcy i krajowiec nie wstępuje bez zachwycenia na górę Kalwaryi, ten najwyższy cypel pasma przedgórzy, składającego się z dawniejszego i późniejszego piaskowca i wapienia, między któremi jednakowoż pierwszy w znaczniejszéj znajduje się ilości. Pomiędzy ciemnemi jodłami i sosnami, jakiemi góra Kalwaryi jest porośniętą, wystaje mnóstwo bielejących się kaplic, z których każda osobnéj scenie z męki naszego Zbawiciela jest poświęcona; widok onychże wzbudza pobożne, religijne uczucie. Do tego to świętego miejsca pielgrzymuje corocznie mnóstwo pobożnych pielgrzymów z Galicyi, Polski, Węgier, Szląska i Morawii, aby odprawiając swe nabożeństwo w tych świętych miejscach, wiarę swą wzmocnić, lub święte śluby wypełnić. Szczególniéj wielkim bywa natłok ludu na Wielkanoc i w święta P. Maryi poświęcone, a mianowicie największym w święto Wniebowzięcia Maryi Panny. W takowych dniach liczono nieraz przeszło 30,000 pobożnych Chrześcian, którzy w dużych gromadach, częścią w otwartych miejscach lesistych spoczywają, częścią pojedyńczo w zabudowaniach koło klasztoru lub w miasteczku znajdują przytułek. Po lesie rozlegają się od samego świtu do późnego wieczora nabożne pienia pojedyńczych processyj, zatrzymujących się przed każdą kaplicą i odprawiających przepisane nabożeństwo. Jestto widok, na jaki pewnie każdy czuciem obdarzony człowiek, bez wzruszenia patrzeć nie może.

Na szczególniejszą uwagę zasługuje tutaj wyobrażony klasztor Bernardynów z dużym kościołem, przy którym obecnie 16 braci zakonnych wraz z przełożonym żyje. Teologiczny naukowy zakład dla zakonników galicyjskich, miał tu od czasu swego powstania siedlisko, dopóki w r. 1830 nie został do Lwowa przeniesionym. W krużgankach klasztornych wiszą popiersia familijne Zebrzydowskich i piękny obraz świętego Franciszka w grobie, u którego stóp papież w nabożeństwie zatopiony klęczy; naprzeciw wielkiego ołtarza wisi obraz króla polskiego Władysława IV., który w r. 1621 po zwycięztwie chocimskiem uroczyste dzięki najwyższemu składał, oraz i drugi obraz, przedstawiający odwiedziny ś. p. zmarłego cesarza Franciszka.

Założycielem tego sławnego miejsca pielgrzymek pobożnych jest Mikołaj Zebrzydowski, wojewoda krakowski i starosta lanckoroński, który żałując za rokosz podniesiony, i chcąc przebłagać poległych w téj walce, wraz z żoną swą Dorotą Herburtową, tutaj kościół zbudować postanowił. W tym to celu przykazał dworzaninowi swemu, Hieronimowi Strzale, przedsiębiorącemu właśnie pielgrzymkę do Jerozolimy, dla odwiedzenia grobu Zbawiciela, aby mu przywiózł rozkład budowniczy tamtejszego kościoła Św. krzyża i Bożego grobu. Strzała powrócił nazad 1600 roku i przywiózł żądane rozkłady budownicze, poczém Zebrzydowski 4go października 1600 r. kamień węgielny do teraźniejszego kościoła położyć kazał. Koło budowy onegoż tak pilnie pracowano, iż już rok późniéj, to jest 4go października 1601, stanął z ciosowego kamienia zmurowany kościół, który papiezki poseł na polskim dworze, Klaudyusz Rangoni, w przytomności krakowskiego biskupa, Bernarda Maciejowskiego, uroczyście poświęcił. Roku 1602 powziął Zebrzydowski myśl zbudowania klasztoru wraz z kościołem. Bernardyni, mieszkający wtedy w Radomiu, chętnie przyjęli wezwanie, a w roku 1603 poświęcił wspomniony już wyżéj biskup krakowski, kamień węgielny nowéj budowy. Aż do ukończenia onéjże kazał założyciel wystawić drewniany budynek z pomieszkaniami dla 5. braci zakonnych. W owym czasie znajdował się w téj okolicy komissarz ziemi świętéj, O. Chryzostom z Kopranicy, ten wiele podobieństwa między tém miejscem a Jerozolimą upatrywał. To było powodem pobożnemu założycielowi, iż podług rozporządzenia sławnego miernika i nauczyciela matematyki, Szczęsnego Zebrowskiego, podobne gmachy, jak ratusz Piłata i grób Chrystusa, w Jerozolimie wystawione, już dobudować kazał. Wewnętrzne niespokoje krajowe, oddaliły na trzy lata założyciela od swego miejsca ojczystego i były przyczyną, iż dopiero po swym powrocie w roku 1609 klasztor i resztę budynków OO. Bernardynom uroczyście mógł oddać. Całe założenie potwier-

dził król Zygmunt III. Aż do roku 1616 sam założyciel budową był zajęty, po śmierci zaś dokończył syn jego Jan wszystkie kaplice i budowy. Michał Zebrzydowski, również wojewoda krakowski, kazał kościół wraz z klasztorem rozszerzyć i powiększyć. Tyle nam dzieje o założeniu Kalwaryi powiadają. Poniżéj miasteczka leży wieś Zebrzydowice z klasztorem Miłosiernych braci, którzy się trudnią pielęgnowaniem chorych z okolicy.

Bitwa pod Kircholmem.

(Dalszy ciąg.)

Dzień 27. Sierpnia 1605 roku był pogodny; promienie słońca w tysiącznych odcieniach odbijały się od świetnego, stalistego uzbrojenia; połyskały się oręże, wiatr igrał z piórami hełmów, cichość grobowa obległa szeregi, czekano tylko hasła. Widok wojsk, do bitwy uszykowanych, ma w sobie coś zajmującego, ponurego, wzniosłego, porusza wszystkie sprężyny czucia w człowieku. Ów liczny stek ludzi jednako ustrojonych, jedną i tąż samą ożywionych myślą, dobrowolnie życie, wszystkie swoje doczesne nadzieje narażających, zdumiewa oczy i rozum, wznieca w każdym szlachetny zapał i poświęcenie się w pośród tylu; tu kres hartu moralnego dla każdego młodego, tu dopiero poznać może w całym świetle rzetelną godność człowieka, jako na progu wieczności. Mówimy zaś o walkach w obronie swobód prawdziwych, z własnego popędu ogółu prowadzonych; ubliżeniem byłoby te wzniosłe pojęcia stósować do rzeźi, które przemoc dla osobistych widoków prowadzi, popychając gwałtem tłumy za lichą strawą.

Nim nastąpiła ogólna walka, trwały harce od godziny osméj zrana do południa szczęśliwie dla Polaków, wszakże nieprzyjaciel z posady swojéj występować nie chciał. Największa w tém trudność dla hetmana zachodziła, ponieważ na szwedzkie szyki, szeroko po górzystych miejscach rozstawione, z jazdą swoją, w któréj całe zaufanie położył, natrzeć bezpiecznie nie mógł. Niebezpieczno też było bitwę walną dłużéj odwlekać, ona bowiem roztrzygnąć miała wszystko. Żeby więc z pagorków owych na przyległe i rozłożyste pola podstępem nieprzyjaciela wyciągnąć, nagle rozkazał zwinąć się swoim harcownikom, wypuścił pułk ussarzy z poleceniem, ażeby tenże dotarłszy aż do samego szyku szwedzkiego, wkrótce cofał się, nigdzie nie dotrzymując, z początku powoli, potém w rozsypce, nakoniec ażeby w zupełnym nieładzie do swoich dopędził w przeznaczone miejsce, a to dokładnie zmyślając ucieczkę. Tak często powtarzanemu wybiegowi dał się jednakże uwieść zbyt popędliwy Karól, i skoro tylko pułk ten ussarzy zaczepiwszy kilka czworoboków szwedzkich, udawać począł ucieczkę, całkiem, jak gdyby odparty i zniechęcony; natychmiast wykrzyknąwszy: „a nie mówiłżem, że Polacy uciekną,“ pomimo przedstawień generałów swoich, rozkazał całemu wojsku zstąpić z pagorków, z pośpiechem jak do pogoni, przez co szyk znacznie nadwerężonym został. Tylko też na to czekał Chodkiewicz; zaraz więc za danym znakiem harcownicy miejsca swoje zastąpili, rozciągnęły się ściśnione pierwéj szyki, stawiając równe nieprzyjacielowi czoło; na hasło do bitwy zagrzmiały wszystkie bębny i trąby, i aby korzystać z pierwszego nieładu Szwedów, pchnął hetman hufiec Wincentego Wojny na łamanie piechoty szwedzkiéj, w czole ustawionéj, w pośród okrzyku całego wojska: „Jezus, Marya! śmierć Szwedom!“

Długo nieprzyjaciel stał jak mur nieporuszony, nasrożywszy całe czoło długiemi kopiami, koląc zdala natarczywe konie, kiedy tymczasem muszkietnicy owi, gęstym jakby z za rogatek raźili ogniem. Ussarze po wystrzeleniu z ręcznéj krótkiéj strzelby, jedni zapędem dzielnych koni tratując, drudzy kopiami bodząc, inni dobytemi pałaszami drzewca nasrożone siekąc, rum sobie na złamanie szyku torowali; za nadbiegnięciem znowu kurlandzkiéj jazdy, nadwerężone już szyki szwedzkie łamać się poczęły; pękła nakoniec ta spisami utkana zapora, śmierć walecznego Lindersona długo wątpliwą walkę roztrzygnęła, który od ciężkich ran na nogach już utrzymać się nie mogąc, padł na kolana i jeszcze nim skonał kilku Polaków powalił. W téj wrzawie, Stygiel, który u Szwedów prowadził węgierską piechotę, ustępując powoli z bojowiska, z niedobitkami schronił się do bliskiego kościółka, gdzie zatarassowany mocno, przez okna i z dachu raźił Polaków ze strzelby, dopiero widząc, że nie ujdzie, udawał Polaka mową i począł swoich Węgrów mordować, jednak poznany wkrótce, ponieważ nie wachał się użyć tak okropnego podstępu, w sztuki rozsiekanym został.

Kiedy tak zacięcie bojowano w środku, Tomasz Dąbrowa, przywodzący lewemu skrzydłu, w obawie, aby nie być wziętym z boku i korzystając z wiatru powstałego od morza, dym i piasek w oczy nieprzyjaciół miotającego, dzielnie natarł na jazdę Mansfelda, choć co do liczby wielce przeważną, takową rozproszył i ze szczętem zniósł i sam cudów męztwa dokazywał; z jego to ręki poległ książę lüneburski, potykający się pieszo, bez hełmu na głowie, z męztwem rozpaczy, aby przekonać, że nie jest trwożliwym, jak go niesłusznie wczora z naigrawaniem się posądził Karól.

(Koniec nastąpi.)

Bonawentura Kudlicz.

Znakomity ten artysta dramatyczny, w roku 1801 wszedł do teatru, zostającego wówczas pod zarządem Wojciecha Bogusławskiego.



Bonawentura Kudlicz.

Dziś ulubieniec publiczności, jest ciągłą jéj roskoszą, i słusznie, bo kogoż gra jego naturalna i szlachetna do łez nie wzrusza w Teresie, Malwinie, Estelli, Trzydziestu latach życia szulera, Powrocie majtka, Pierścieniu? Kogoż do śmiechu nie zmusza, delikatna i wyższa komiczność: w Księżnie i Paziu, Fryderyce Brown, Braciach niezgodnych, Córce Faraona, Lektyce na przedaż? Słowem, ilebyśmy dzieł scenicznych wymienili, w których ten artysta się odznacza, tyle zarazem tryumfów gry jego naliczyćbyśmy musieli, a spis ten byłby zbyt długim. Jakaż to rozmaitość charakterów, ileż delikatnych odcieni, mistrzowską grą jego oddanych!

Lecz nietylko jako utalentowany artysta położył on zasługi swoje dla sceny krajowéj: winna mu ona wdzięczność za ukształcenie tylu znakomitych dzisiaj artystów płci obojéj. — On wiódł pierwsze kroki w tym trudnym zawodzie: Daszkiewiczównéj, Werowskiéj, Kosteckiéj, Jasińskiego, Panczykowskiego, Majewskiego, Baranieckiego, Karasińskiego. — Jeszcze niezmordowany tyloletnią pracą, ciągle gra i poświęca się ukształceniu młodzieży do zawodu, który sam miłując nadewszystko, najczynniéj do wzniesienia i uszlachetnienia jego się przyczynia.

Jeśli Francya szczyci się Michotem, Poliem, Lepeinstrem starszym; Niemcy Ifflandem, Devrienem, Brockmanem; my śmiało szczycić się możemy tym utalentowanym artystą, który niemylnie dzisiaj jest jedną z najcelniejszych ozdób sceny naszéj. *R. F....*

Nakładem i drukiem Ernesta Günthera w Lesznie. (*Red. J. Łukaszewicz.*)